

# Ryszardy Hanin *665* dni przeszłe i terażniejszość

— Dzień Wojska Polskiego jest coroczną okazją do wspomnień wojennych. Czy chętnie wraca Pani pamięcią do tamtych lat?

— Trudno wracać chętnie do tych lat. Z drugiej strony jest to dla mnie najważniejszy okres w życiu. Były to lata mojej młodości, lata, które mnie formowały. Nie wiem czy dobrze, czy źle. Ukształtował we mnie tamten okres stosunek do życia i świadomość, które chyba rzutują na terażniejszość.

— Jak się potoczyły Pani losy wojenne? Przepraszam, że pytam o to, o czym zapewne mówiła już Pani wielokrotnie.

— Wojna rzuciła mnie na teren ZSRR. Zgłosiłam się ochotniczo do Dywizji im. T. Kościuszki. Byłam fizylierką w batalionie kobiecym. Rozkazem wojskowym przeniesiono mnie do teatryku wojskowego, którego organizatorem był Leon Pasternak.

— Więc jakby z rozkazu została Pani aktorką...?

— Istotnie. Zostałam aktorką amatorką. Ale zaraz po zakończeniu działań wojennych zaczęłam solidne studia aktorskie zakończone egzaminem eksternistycznym.

— Ciekaw jestem repertuaru wojennego...

— Występowaliśmy z rzeczami pisanymi przez Pasternaka, Ważyka, Szenwalda. A pierwszą moją rolą dramatyczną tego amatorskiego okresu była Anieli w „Ślubach panińskich” w reżyserii Krasnowieckiego. Potem, już w Lublinie, byłam Panną Młodą w „Weselu” reżyserowanym przez Jacka Woszczerowicza.

— A role podyplomowe?

— To było w Łodzi, w Teatrze Wojska Polskiego, którego pierwszym dyrektorem był Krasnowiecki a potem Leon Schiller. Grałam Dorynę w „Świętoszku” w reżyserii Zelwerowicza, byłam Bertą w „Świerszczu za komi-nem”, reżyserowanym przez Daczyńskiego. Wystąpiłam w Schillerowskich „Krakowia-kach i góralach”, a także jako Nastka w „Na dniu”. Zagrałam też Anieli w „Burzy”. To był dla mnie piękny, złoty okres.

— Rozumiem więc, że teatr jest Pani najbliższy...?

— Teatr musi być aktorowi najbliższy. Jest najlepszą szkołą aktorstwa, bo najtrudniejszą. Mimo że, jakby się zdawało, mniej efektowną od filmu czy telewizji. Aktor, który nie przeszedł przez szkołę teatru, moim zdaniem, jest niepełnowartościowy. Wymogi teatru są większe, gdyż aktor na scenie sam jest odpowiedzialny za wszystko od początku do końca, bez pomocy techniki. Nie znaczy to oczywiście, że nie sprawia mi satysfakcji gra w telewizji lub radio, które dają aktorowi szansę grania różnych ról.

— Jaka struktura psychologiczna postaci jest Pani najbliższa?

— Wolalabym sama tego nie formułować. Szufladkują aktorów „od zewnątrz”, więc nie powinniśmy robić tego sami. Uważam, że aktorowi nic, co ludzkie nie powinno być obce, przez co jak najszersza powinna być nasza skala charakterologiczna. Powinniśmy, po prostu, starać się rozszerzać możliwości włapiania się w różne indywidualności.

— A to już jest cecha dobrego, jeśli nie wybitnego aktorstwa...?

— Aktorstwo nie może być jednostronne. Aktor w ogóle nie może być człowiekiem jednego tonu. Bo w zasadzie nie ma ludzi jednego tonu, chyba że reprezentują wyjątkowe ubóstwo wewnętrzne.

— Czy nie sądzi Pani, że aktorstwo polskie powstaje w cieniu reżyserii i scenografii?

— Mnie się wydaje, że to sprawa mody. I nie tylko u nas. Tak się poza tym składa, że mamy dobrych reżyserów i scenografów. Ale ambicją aktora powinno być nie dać się zdominować. Oczywiście, mierną satysfakcją jest dla aktora zwycięstwo na tle miernej reżyserii. Dla mnie najważniejszą rzeczą jest znalezienie wspólnego języka z wybitnym reżyserem. Najciekawsze rezultaty rodzą się chyba z trudnością. Najmniej ciekawa wydaje mi się praca nad typem roli, która „już wyszła i wiem na czym ona polega”. Ileż ciekawsze możliwości daje rola ukazująca nie znane cechy psychiki ludzkiej.

— Jest Pani profesorem w warszawskiej Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej. Co myśli Pani o narzekaniach na brak nowych metod i poszukiwań w dziedzinie szkolenia aktorów, gdy za przykład stawia się Teatr Laboratorium, którego nie tylko filozofia a chyba bardziej — forma odbiega od uznanych stereotypów?

— Jestem pełna uznania i szacunku dla Teatru Laboratorium. Przez pewien czas wspólnie z moimi uczniami uczestniczyłam w lekcjach prowadzonych przez Grotowskiego. Myślę, że aktorzy skazani na tzw. stary teatr też mogą wiele z niego wynieść. Żaden twórca wykładowca nie jest w pełni zadowolony z własnej metody. Chyba w tym samym stopniu uczniowie. I to jest motorem postępu. Do końca nie byli z nich zadowoleni, a pełni wątpliwości, mimo dobrych rezultatów, ojcowie naszej pedagogiki teatralnej: Zelwerowicz, Osterwa, Kreczmar. Moment, gdy szkoła okrzepłaby w swych metodach, byłby początkiem klęski. Także Stanisławski, który stworzył system i miał swoich epigonów, nie był z siebie zadowolony i uważał, że nie wypowiedział ostatniego słowa.

— Na ile aktor, będący dużą indywidualnością, pozostaje wierny samemu sobie?



Fot. Zbigniew Szczęsny

— Aktor zawsze jest wierny sobie. Siebie nie można przeskoczyć. Tak mnie się wydaje. Nie można grać kogoś innego, bo to jest malpiarstwo. Także u Stanisławskiego jest na to odpowiedź w formie: „co by było gdyby...” — więc co by było, gdybym był tym, w takich okolicznościach. Czyli zawsze jestem ja.

— Przejdźmy do telewizji, dzięki której zdobyła Pani ogromną popularność, że wymienię znakomitą rolę Matki w „Niespodziance” Rostworowskiego. Należy Pani do grona tych aktorów i twórców, którzy znaleźli swój własny, telewizyjny wyraz. Na czym polega jego tajemnica?

— Nie umiem na to odpowiedzieć. Ani go sobie zakładałam, ani go wypracowałam. Może okazało się, że mam jakąś kameralność, jakieś ściszenie, co akurat koresponduje z wymogami telewizji. Takie środki wyrazu są mi po prostu bliskie. Może to zależy także od tego, że miałam szczęście, bo w naszym zawodzie słowa „szczęście” i „przypadek” mają często decydujące znaczenie.

— Żeby już objąć wszystkie dziedziny aktorskiej działalności, ile miejsca w Pani pracy zajmuje jeszcze film i radio?

— Poza teatrem liczy się dla mnie przede wszystkim szkoła, która jest moim drugim domem. Bardzo lubię radio, ale trudno byłoby powiedzieć, że jest jakaś z form przekazu, którą przenosiłabym nad drugą. Ważne są role, a obojętne chyba jest „w którym budynku jestem”.

— Wiem, że jest Pani autorką opracowań programów poetyckich.

— W moim życiorysie aktorskim bywały lata tłuste i chude, jak w każdym życiorysie. W

latach „przebojów” starałam się nie kwaśnieć i nie malkontencić, tylko robić coś na własną rękę — zdałam egzamin reżyserowski, choć nie bardzo korzystam z tych uprawnień, bo satysfakcja z tego, co robię w szkole zupełnie mi wystarcza, a przecież nie można robić wszystkiego, tylko to, co daje zadowolenie największe. W tym czasie reżyserowałam wieczory poetyckie i poproszono mnie, abym to w jakimś kształcie utrwaliła dla amatorów. Wydaje mi się, że jest to dziedzina, w której jest jeszcze dużo do zrobienia, gdyż sztampa naszych akademii jest przerażająca, a powinno się znaleźć inne dla nich rozwiązanie.

— Zwyczajowo, pytam moich rozmówców o najbliższe plany. W czym będziemy Panią oglądać?

— W teatrze jeszcze nie wiem, bo właśnie jestem po urlopie. Mogę powiedzieć, że z rzeczy przygotowanych w telewizji wystąpię w „Radosnych dniach” Becketta, w „Moim programie”, który sama przygotowałam. W filmie natomiast gram u Stanisława Różewicza w „Drzwiach w murze” według Tadeusza Różewicza, biorę udział w filmie koprodukcji polsko-radzieckiej o synu, który na skutek losów wojennych ma dwie matki — gram matką polską, przybraną. Poza tym jestem panią Żarnecką w „Nocach i dniach” — w tej postaci reżyser Antczak skomasował wiele innych, więc chyba jest ciekawa. Cóż poza tym — zaczyna się właśnie nowy sezon, czyli dla aktora wielka niewiadoma i właściwie start od zera.

— I może na tym polega urok tego zawodu?

— W jakimś sensie na pewno tak.

Rozmawiał: KAZIMIERZ SOBOLEWSKI